

Moje ferie ze ... sportem

To było bardzo długie półrocze... Miałam naprawdę dosyć nauki, lekcji i treningów. Z utęsknieniem czekałam na ferie – tydzień nicnierobienia, a potem tradycyjny rodzinny wyjazd na narty. Zapowiadało się cudownie, dopóki nie dowiedziałam się, że pierwszy tydzień spędzę na obozie sportowym w Wałczu...



O Wałczu i zimowych obozach w naszej drużynie krążyły legendy. Niestety tych masakrycznych – płacz z bólu i treningi od rana do nocy.

Niestety mama była nieubłagalna:

– Albo trenujesz na poważnie, albo kończysz z pływaniem synchronicznym – zapowiedziała. Jak nie weźmiesz udziału w obozie, w tym sezonie już nie wystartujesz w żadnych zawodach – zapowiedziała.
– Nooo dobra. Pojadę... – zgodziłam się z umiarkowanym entuzjazmem.

W pierwszym dniu ferii, w sobotę tata zostawił mnie w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Wałczu. Ośrodek był bardzo ładny, jedzenie smaczne, a pokoje w standardzie dobrego hotelu. I to by było na tyle z pozytywów.

Od pierwszego popołudnia trenerki wzięły się za nas ostro.



Dalej było tylko gorzej – codziennie spędzałam 6 godzin w wodzie i 4 na sali gimnastycznej pracując nad perfekcyjnym szpagatem w trzech rodzajach – na prawo, na lewo i na wprost.

Już w niedzielę miałam dosyć i prawie płakałam w słuchawkę. Rodzice byli niewzruszeni:

– Zostajesz do końca – usłyszałam.

W pokoju byłam razem z Pauliną.
Początkowo nie znalazłyśmy wspólnego języka, ale potem bardzo się polubiłyśmy. Niestety na dłuższe pogaduchy wieczorne nie było czasu – zasypiałyśmy wieczorem na stojąco.

Poranki...



Południa...



Wieczory...



Tydzień minął szybko, na ciężkiej pracy (gorzej niż w szkole). Na szczęście na koniec trenerki (WRESZCIE) były z nas zadowolone. Okazało się, że przez ten tydzień bardzo się zżyłyśmy i trudno było się rozstać.

Jednak wspólne nieszczęście łączy ludzi!!!



Po powrocie szybko się przepakowałam i już po 6 godzinach znowu byłam w drodze. Wystartowaliśmy o 22, po 10 godzinach dotarliśmy na miejsce.

Byliśmy pierwsi – wszyscy nasi znajomi (6 rodzin) jechali za nami. Jak się wkrótce okazało wyjazdy „w kupie” mają swoje plusy...

Czekając na resztę ekipy zwiedziliśmy urokliwe włoskie miasteczko Cavalese oraz zaliczyliśmy prawdziwą włoską pizzę. I kawę .



Wyjazd narciarski zaczęliśmy od wizyty na basenie. O dziwo po tygodniu moczenia się w wodzie wcale nie miałam dosyć pływania. Pierwsza kolacja (i jak się potem okazało wszystkie następne) były pyszne!!! Nic nie zapowiadało katastrofy...

Bomba wybuchła jeszcze tego samego wieczoru – spakowana tydzień przed wyjazdem torba z ciuchami narciarskimi została w garażu...

Ale od czego ma się przyjaciół?! Nie minęło pół godziny a już miałam – spodnie od koleżanki, kurtkę od jej mamy i mogłam ruszać na stok. Resztę ekwipunku też udało się pożyczyć.

– Nigdy w życiu nie będę pakować się wcześniej; na ostatnią chwilę wystarczy – obiecała mama.

Przez 5 dni intensywnie jeździłam na nartach. Codziennie razem z tatą robiliśmy po około 50 km trasami różnej trudności.

Były i szerokie „autostrady”:



I wymagające czarne, które lubię najbardziej!!!



Czasami była chwila luzu, a nieskazitelny śnieg kusił by zrobić „aniołka”



Wieczorami, gdy dorośli relaksowali się przy winie, ja z koleżanką – najstarsze w ekipie zajmowałyśmy się dziećmi. A było co robić – było nas dzieciaków 13 sztuk w różnym wieku!



Ostatniego dnia miał padać śnieg (a nie padał!), było za to 14 stopni więc zrezygnowaliśmy z nart i pojechaliśmy do pobliskiego Predazzo (miasteczko znane ze skoczni) pozwiedzać i kupić pamiątki oraz na pizzę i kawa i ciastko .



I to już prawie koniec. W sobotę, w drodze do domu zatrzymaliśmy się w Monachium u rodziny, a w niedzielę już kierunek – dom.

Asia Wieczorek 7a